

Charlotte Cho

Sekrety urody Koreanek

Elementarz pielęgnacji



Sekrety urody Koreanek

Elementarz pielęgnacji



Charlotte Cho

tłumaczenie Joanna Dziubińska

znak *litera
nova*

Kraków 2016

Tytuł oryginału

The Little Book of Skin Care. Korean Beauty Secrets for Healthy, Glowing Skin

Copyright © 2015 by Charlotte Cho. Published by arrangement with HarperCollins Publishers. All rights reserved

Copyright © for the translation by Joanna Dziubińska

Ilustracje

Gemma Correll

Projekt okładki

Maria Gromek

Opieka redakcyjna

Aleksandra Kamińska

Ewa Polańska

Magdalena Suchy-Polańska

Weryfikacja tłumaczenia

Gwangseok Kim

Adiustacja

Arletta Kacprzak

Korekta

Anna Niklewicz

Patrycjusz Pilawski

Łamanie

Agnieszka Szatkowska

ISBN 978-83-240-3590-8

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2016

Druk: Abedik



*Dla Eommy i Appy,
którzy dali mi Koreę i Amerykę
oraz to, co najlepsze w tych dwóch światach*



Spis treści

Wstęp	9
1 O mnie: koreańska buzia, kalifornijskie podejście	13
2 Podstawy koreańskiego piękna: mentalność kultury wielbiącej piękną skórę	27
3 Dwuetapowe oczyszczanie: cera czysta jak łza, gdy myjesz ją razy dwa	41
4 Magia złuszczenia (i jak być specjalistką od K-spa)	59
5 <i>Chok chok</i> : nawilżanie, czyli sztuka lśniącej cery	77
6 Filtr przeciwsłoneczny: najważniejsze słowa w pielęgnacji cery	95
7 Tajemny koreański rytuał pielęgnacyjny w dziesięciu krokach – bez tajemnic!	117
8 ABC zakupów kosmetycznych, czyli jak znaleźć najlepszy dla siebie produkt	135
9 Twoje najlepsze oblicze: moda i niewidoczny makijaż	153
10 Koreańskie piękno wewnątrz i na zewnątrz: jak twój tryb życia wpływa na skórę	175
11 Moje serce JEST w Seulu, czyli gdzie jeść, pić, kupować i robić się na bóstwo	191
Podziękowania	222

Wstęp

Wydawało mi się, że mam obsesję na punkcie dbania o urodę – dopóki nie zamieszkałam w Seulu.

Seul oddycha pięknem, a jego tlenem jest pielęgnacja cery. W Korei można odnieść wrażenie, że gdziekolwiek spojrzysz, setki produktów obiecują idealną, promienną skórę. Wystarczy popatrzeć na gładkie jak porcelana buzie Koreanek, które mijają cię na ulicach, by wiedzieć, że to coś więcej niż tylko marketingowy chwyt.

Urodziłam się w Kalifornii, ale po studiach przeprowadziłam się na drugi koniec świata, do Korei Południowej. Zaraz po przylocie doznałam czegoś na kształt kulturowego szoku – związanego z lokalnym sposobem pielęgnacji skóry. Świat zachodni uważa, że w dbaniu o cerę jest tyle przyjemności co w nitkowaniu zębów, że to tylko kolejny obowiązek, który trzeba odhaczyć na liście „do zrobienia przed pójściem spać”. W Korei dbanie o cerę to coś, z czego można czerpać przyjemność. To nie przejaw próżności, a inwestycja w dobre samopoczucie. Bardzo szybko zdałam sobie sprawę, że zamieszkałam w kraju, w którym pielęgnacja skóry oznacza nie tylko produkty na łazienkowej półce, ale sposób myślenia wpływający na całe twoje życie – od jedzenia, które spożywasz, po noszone przez ciebie ubrania.

Droga, którą przebyłam, by zrozumieć koreańską metodę pielęgnacji cery, uczyniła mnie jej wielką zwolenniczką i kiedy opuściłam Seul, zapragnęłam podzielić się swoją nową wiedzą: zaczęłam prowadzić stronę o koreańskim stylu życia i dbaniu o urodę oraz sklep internetowy Soko Glam, a także zdobyłam w Nowym Jorku licencję kosmetyczki. Dzięki Soko Glam poznałam wiele historii kobiet (i mężczyzn) w różnym wieku i z różnych kultur, którzy postanowili postępować zgodnie z koreańskim rytuałem pielęgnacji cery i obserwowali, jak ich skóra – i pewność siebie – zmieniają się na lepsze.

W Stanach Zjednoczonych, myśląc o skórze, myślimy o problemach. Kiedy przed ważną randką pryszcz wychyli swój brzydki łeb albo kiedy zauważymy pierwsze zmarszczki, doznajemy uczucia paniki, z troskania i żalu. „Walczymy” z trądzikiem i ze zmarszczkami, „pozbywamy się” wągrów. Stajemy do walki z własną skórą, a naszym jedynym sprzymierzeńcem jest słoiczek cudownego ponoć kremu, który niemal zawsze nas zawodzi.

Nasze głowy wypełnia marketingowy bełkot, sugestywna mieszanka mitów i przekłamań. Nic dziwnego, że ludzie nadal wybierają produkty do twarzy, kierując się swoim wiekiem i płcią, albo wierząc, że picie dużych ilości wody przyniesie ulgę suchej skórze, bo to wmawia się nam od pokoleń.

Im więcej uczyłam się o pielęgnacji cery na zajęciach z kosmetyki i im więcej rozmawiałam z ludźmi, którzy byli zupełnie zdezorientowani, ponieważ nie wiedzieli, co kupować albo jak stosować konkretne preparaty, tym większej nabrałam pewności, że muszę zawrzeć wszystkie moje seulskie sekrety w książce. Bo, prawdę mówiąc, nie powinny już dłużej być sekretami.



Dlaczego warto przeczytać książkę o pielęgnacji cery?



Opowiem ci, jak mnie, dziewczynę z Kalifornii, oczarowała koreańska kultura piękna oraz jak zmieniłam swoje nastawienie i sposób dbania o skórę. Jeśli sięgnęłaś po tę książkę, aby rozpocząć swój pierwszy pielęgnacyjny rytuał, udoskonalić ten, który codziennie powtarzasz, lub żeby dowiedzieć się, jak w innej kulturze kobiety troszczą się o urodę, *Elementarz pielęgnacji* na pewno ci pomoże – a nawet więcej.

Samo przeczytanie książki nie poprawi stanu twojej cery, ale głowa do góry – to pierwszy krok. Dokonanie zmiany będzie wymagać od ciebie nieco wysiłku, jednak przez całą drogę będę cię prowadzić za dobrze nawilżoną rękę. Zdradzę ci najpilniej strzeżone koreańskie sekrety dotyczące pielęgnacji skóry: od porannych i wieczornych rytuałów, przez techniki złuszczenia twarzy i ciała, po wybór i stosowanie odpowiednich kosmetyków nawilżających. Nauczę cię także wykonywania naturalnego, niewidocznego makijażu, który widziałam na twarzach kobiet przechadzających się po ulicach Seulu (i po wielu wybiegach w Nowym Jorku i Paryżu). Połączę moją wiedzę kosmetyczki z poradami seulskich ekspertów w dziedzinie dbania o urodę, odpowiem na najtrudniejsze pytania o pielęgnację oraz doradzę, co zrobić, gdy masz problemy ze skórą. Koreańska kultura dbania o cerę zmieni to, jak o swojej skórze myślisz i jak ją traktujesz. Z podekscytowaniem rozpoczniesz swój nowy rytuał pielęgnacyjny, a gdy zobaczysz efekty, nie będziesz chciała z niego zrezygnować.

Jeśli masz jeszcze jakieś wątpliwości, to zapewniam cię: można się ekscytować swoją skórą. To przecież największy organ twojego ciała. Gotowa?



ŚWIETNE JEDZENIE



SZARA, sucha
CERA

POTARGANE
włosy



Anyong?

KULEJĄCY
KOREAŃSKI



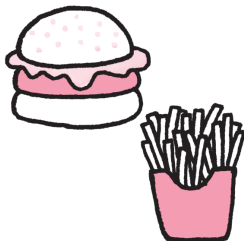
Żłoty
BRAZ



1

O mnie:

koreańska buzia, kalifornijskie podejście



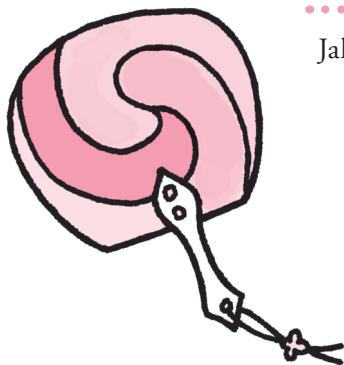
Przez pierwsze dwadzieścia jeden lat swojego życia byłam typową dziewczyną z Los Angeles. Miałam opaleniznę przez wszystkie dni w roku i blond pasemka we włosach. Dzień w dzień chodziłam w japonkach i postrzępionych szortach firmy Abercrombie & Fitch. Burgera i frytki popijałam waniliowym koktajlem. No i oczywiście ubóstwiałam plażę. Odkąd zrobiłam prawo jazdy, jeździłam sedanem rodziców do centrum handlowego, gdzie wydawałam pieniądze zarobione w restauracji serwującej sushi.

Jeśli chodzi o dbanie o urodę, to wszystkiego nauczyłam się sama: z kolorowych magazynów i od znajomych. W liceum ścieniowałam włosy i pochylałam się nad umywalką w łazience, robiłam sobie blond pasemka za pomocą drogowego zestawu do farbowania. Był taki czas, kiedy miałam trwałą – lepszą lub gorszą (na pewno miałam trwałą, ale

to, jaka była, zależy od tego, kogo zapytasz). Gdy robiłam makijaż, nie chciałam wyglądać naturalnie. Używałam czarnego jak węgiel eyelinera i nadmiernie wyrываłam sobie brwi, tak żeby uzyskać delikatny łuk jak u Angeliny Jolie.

Ponieważ miałam dodatkową pracę, mogłam przepuszczać pieniądze na kosmetyki, które wydawały mi się niezbędne: zestawy cieni do powiek, eyelinery w płynie, błyszczki do ust w soczystych kolorach i bronzery, by moja muśnięta słońcem skóra nabrała blasku. Mama upominała mnie bez przerwy, żebym używała kremu z filtrem, ale – o zgrozo – nie słuchałam. Opalenizna była w modzie, więc zamiast kremem z filtrem smarowałam się niedbale przyspieszaczem opalania o zapachu kokosa, by jak najbardziej skorzystać z godzin spędzonych na słońcu.

Spaghetti z dodatkiem kimchi



Jako Amerykanka koreańskiego pochodzenia (urodzona w Kalifornii, wychowana przez koreańskich rodziców) dorastałam między dwoma światami. Na kolację jedliśmy spaghetti z sałatką z kimchi. Obchodziliśmy Nowy Rok pierwszego stycznia, a potem Księżycowy Nowy Rok. W szkole mówiłam po angielsku, a w domu po koreańsku. Podczas cotygodniowych lekcji baletu nosiłam różowe tutu, ale w soboty tańczyłam w koło w koreańskiej szkole, machając tradycyjnym *buchae* wraz z innymi dziećmi koreańskich imigrantów.

Od czasu do czasu, zwykle w soboty po zajęciach w koreańskiej szkole, mama zaciągała mnie do koreańskiej łaźni, gdzie stałyśmy nago

w towarzystwie obcych ludzi. Moja starsza siostra Michelle rozkoszowała się tym doświadczeniem, ale ja nie mogłam go znieść. Wspólna nagość mnie krępowała – moje piersi dopiero zaczynały rosnąć, więc ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, było pokazywanie ich światu.

Moja mama często pouczała mnie i Michelle, żebyśmy unikały słońca, nawilżały skórę i odpowiednio ją oczyszczały. Moja starsza siostra bardziej niż ja interesowała się kulturą Korei (uwielbiała tamtejsze boysbandy, których muzykę określa się jako K-pop) i grzecznie słuchała mamy, ale ja, środkowe dziecko, robiłam co w mojej mocy, żeby postępować dokładnie na odwrót. Wolałam robić wszystko po swojemu, a moją mocną stroną było chodzenie spać bez posmarowania twarzy kremem, a nawet (o mamó!) bez umycia jej.

Jak można się było spodziewać, taka „pielęgnacja cery” nie była wiele warta. Trądzik pojawił się, gdy chodziłam do drugiej klasy liceum. Jest pewne koreańskie powiedzenie, według którego trądzik to bezsprzeczny dowód na to, że ktoś się w kimś podkochuje, więc kiedy tata spoglądał na moje obsypane pryszczami czoło, dokuczał mi: „No to o jakim chłopaku dzisiaj myślałeś?”

Miałam wtedy chłopaka (cii...) i zaczęłam podejrzewać, że moja twarz w jakiś sposób mnie zdradza, dlatego postanowiłam bardziej zadbować o skórę. W pobliskiej drogerii kupiłam buteleczkę jaskrawopomarańczowego żelu do mycia twarzy, którego używały moje koleżanki. Wiedziałyśmy, że jest dobry, bo skóra po jego użyciu była tak napięta i sucha, że uśmiechanie się niemal bolało. Po kilku tygodniach, kiedy sytuacja się nie poprawiła, kupiłam nawilżane płatki Oxy Pads, które pozostawiały mocne uczucie pieczenia, gdy przetarło się nimi skórę. Jak mówiły moje przyjaciółki: „Jeśli szczypie, to na pewno działa”.

Nie muszę chyba dodawać, że tu moje zaangażowanie w pielęgnację cery gwałtownie się skończyło. Za dużo z tym było zachodu, a poza tym, jeśli walka z pryszczami miała piec i szczypać, to wolałam się poddać. Pielęgnacja skóry była po prostu zbyt skomplikowana – żadna

z moich koleżanek tak naprawdę nie miała o tym pojęcia, nie zależało im też, aby się czegoś dowiedzieć. Moja mama, wtedy w średnim wieku, miała niemal idealną cerę, ale nie przyszło mi do głowy, aby poprosić ją o radę, bo – jak dobrze wiedzą wszystkie nastolatki – matki na niczym się nie znają.

Lenistwo również przyczyniło się do mojej nonszalancji. Czemu mam się zadręczać stanem swojej cery – myślałam – skoro mogę użyć korektora, podkładu w płynie i kompaktu, żeby zamaskować niedoskonałości? Łatwiej kosmetykami do makijażu zasmarować wypryski, niż się ich pozbyć. Wydawało mi się, że pielęgnacja skóry jest dla starych ludzi i minie wiele lat, zanim będę się musiała martwić zmarszczkami. Dlatego lokowałam pieniądze w hitowych perfumach; wszystkie moje przyjaciółki robiły zresztą to samo. Kupowałyśmy tyle błyszczków i perfum, że kosmetyki pielęgnacyjne nie mieściły się już w naszych budżetach – ale pachniałyśmy wszystkie jak marzenie.



Kiedy wyjechałam na studia, zaczęłam bardziej dbać o cerę, ale niedługo to trwało. Pracowałam jako kelnerka w ekskluzywnej restauracji, dostawałam niezłe napiwki i postanowiłam wydać „nadwyżkę” na drogie kosmetyki. Nie, nie przestałam się lenić – po prostu dom handlowy Bloomingdale’s był zaraz za rogiem, a ja miałam pieniądze do prze hulania. Przytłoczyła mnie ogromna liczba produktów na stoisku kosmetycznym, a sprzedawczyni – skora do pomocy, ale z własnymi problemami z cerą – przyznała, że właściwie nie wie, co mi polecić. Większość jej klientek stanowiły kobiety po trzydziestce i czterdziestce, które nagle zaczęły potrzebować cudownego kremu, aby pozbyć się kurzych łapek albo podnieść to, co grawitacja ciągnęła w dół. Ja jednak miałam dwadzieścia dwa lata i niejasne wrażenie, że powinnam lepiej dbać o swoją skórę. W końcu wyszłam stamtąd z butelką toniku za osiemdziesiąt dolarów, bo mój „zdrowy rozsądek” podpowiadał mi, że coś za taką cenę musi być dobre dla skóry, nawet jeśli do końca nie wiedziałam, w jaki sposób ma na nią działać.

Stosując nowy tonik i krem nawilżający, a od czasu do czasu pozwalając sobie na małą ekstrawagancję, na przykład maseczkę w hotelowym spa, czułam się, jakbym naprawdę wiedziała, jak dbać o cerę. Zwłaszcza kiedy porównywałam się z dziewczynami w moim wieku, które spędzały czas przy stoiskach z kosmetykami do makijażu, wybierając tusz do rzęs, albo skupiały na tym, jak wyglądają ich pupy w najnowszych markowych džinsach. Ale czy mogłam je za to winić? Dlaczego miałybyśmy się martwić skórą? Na naszych buziach nie było przecież jeszcze ani jednej zmarszczki!

Choć gdy byłam nastolatką, w pełni korzystałam z kalifornijskiego słońca, wchodząc w dorosłość, straciłam zamiłowanie do plażowania i burgerów. Studia wydawały mi się przedłużeniem liceum i zaczęłam żałować, że zostałam w rodzinnym mieście. Nudziły mnie idealna pogoda, ciągnące się kilometrami szeregowce o pomarańczowo-żółtych fasadach i centra handlowe na każdym kroku. Wsadziłam więc mój pokryty wągrami nos w książki i skończyłam studia w trzy lata. Wiedziałam, że muszę jak najszybciej wyrwać się z Los Angeles.



Kultura dbania o cerę w Seulu

Po ukończeniu studiów zaczęłam pracować w małej agencji reklamowej w hrabstwie Orange, ale rozglądałam się za czymś innym. Wycieczka do Seulu – stolicy Korei Południowej i rodzinnego miasta moich rodziców – na którą pojechałam przed podjęciem pracy, rozbudziła we mnie pasję podróżowania i zaraz po powrocie rozpaczliwie chciałam znów się tam wybrać. Byłam przekonana, że jeśli się postaram, zdobędę pracę w kraju moich przodków, zaczęłam więc nawiązywać kontakty

z ludźmi z branży reklamowej w Korei, bo zgodnie z idealnym scenariuszem miałam mieszkać za granicą i jednocześnie rozwijać się zawodowo. Nie licząc na odzew, odpowiedziałam na ogłoszenie, jakie znalazłam w koreańskiej gazecie (wydawanej w języku angielskim), i kiedy już niemal zupełnie o tym zapomniałam, w mojej skrzynce mailowej wylądowało zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną. Kilka tygodni później znalazłam się w siedzibie Samsunga w Houston w Teksasie – siedziałam naprzeciw trzech wiceprezesów, którym najwyraźniej wydawało się, że idealnie nadaję się do pracy w dziale międzynarodowych public relations. Pamiętam, jak zapytałam ich nieśmiało, czy mój niezbyt płynny koreański będzie problemem. Ku mojej uldze powiedzieli, że Samsung to globalna firma, w której zatrudnionych jest wielu dwujęzycznych pracowników, a ponieważ będę się zajmować międzynarodowymi projektami PR, wystarczy mi angielski.

Jestem przekonana, że dostałam tę pracę, bo wiceprezesi byli pod wrażeniem tego, że sama zapłaciłam za studia i zrobiłam je w trzy lata, podczas gdy w Korei zwyczajowo to rodzice finansowo zabezpieczają dzieci aż do ślubu, a także opłacają im wesela. Nigdy w życiu bym nie pomyślała, że doprowadzi mnie to do otrzymania posady na drugim końcu świata, ale tak się właśnie stało: chcieli, żebym pracowała w Seulu. Kiedy zdałam sobie sprawę, jaką szansę otrzymałam wraz z biletem w jedną stronę, nie mogłam opanować radości. Pomijając korzyści zawodowe, była to okazja, by poznać okolice, w których dorastali moi rodzice, i jeść pyszne i tanie koreańskie jedzenie, kiedy tylko będę miała na to ochotę. Niecierpliwie czekałam na chwilę, kiedy napełnię sobie brzuch bibimbapem, nie mając pojęcia, w co się ładuję.

To niedomówienie powiedzieć, że rodzice byli zdezorientowani, gdy powiedziałam im o swoich planach. Wiele poświęcili, wyjeżdżając z Korei, i oboje spędzili w USA kilka samotnych lat, ponieważ nie mówili po angielsku – wszystko po to, aby zapewnić lepszą przyszłość dzieciom,

których wtedy nawet jeszcze nie mieli. A tu proszę: ponad trzy dekady później ja rzucam wszystko i jadę do kraju, który – jak im się wydawało – opuścili na dobre.

Ostrzegano mnie, że w Seulu tempo życia jest szybkie, a rywalizacja duża, co naprawdę mnie martwiło. A jeśli się nie przystosuję albo nie będę dobra w pracy? Wielu moich przyjaciół twierdziło, że zatęsknię za domem i będzie mi trudno poznawać nowych ludzi. W Korei miałam ciotkę, wujka i kuzynów (których ledwie znałam) – kiedy rodzice zadzwonili do nich z informacją, że przyjeżdżam, spytali: „Po co ona przyjeżdża do Korei, skoro dobrze się jej żyje w Ameryce?”.

Mimo to nie mogłam opanować podekscytowania. Byłam przekonana, że lata, które spędzę w Seulu – w migających światłach barów karaoke, w mglistym dymie unoszącym się nad grillowaną wszędzie wieprzowiną i na ścieżkach wzdłuż brzegów rzeki Han – będą najlepszymi w moim życiu.

Pakując się przed wyjazdem, marzyłam o tym, żeby zalecał się do mnie koreański chłopak o ładnych włosach. Miałam pewność, że nasz związek będziemy utrzymywać w tajemnicy, bo on okaże się synem bogatego członka zarządu jednego z największych czebolli (konglomeratów biznesowych). Zastanawiałam się, jak poradzę sobie z przebiegłą teściową, aby miłość zwyciężyła. Byłoby dokładnie tak, jak w koreańskich telenowelach.

Kiedy wysiadłam z samolotu w Seulu i wkroczyłam w morze połykających czarnowłosych głów, poczułam się jak w domu. Korea, z której wyjeżdżali moi rodzice, podnosiła się z biedy. Korea, do której ja przyjechałam, była jak kula energii, z której niemal z dnia na dzień wykiełkowała betonowa dżungla. Seul tętnił życiem, napędzany wielkimi nadziejami i marzeniami milionów ludzi zdeterminowanych, by je spełnić. Czekwały na mnie niekończące się uliczki, kultura, którą należało zgłębić, i niezliczone kawiarenki, z okien których można było obserwować ludzi. Spodziewałam się niektórych z tych rzeczy, wkrótce

jednak zdałam sobie sprawę, że chcę nie tylko przeróżnych koreańskich dań z grilla, ale też zupełnie nowego spojrzenia na świat.

Wtedy nastąpiło zderzenie z rzeczywistością.

W hrabstwie Orange byłam Koreanką, w Seulu – Amerykanką, która za chwilę miała doznać pierwszego kulturowego szoku. Miałam dwadzieścia dwa lata, kalifornijską opaleniznę, grube pasemka, a jeśli chodzi o język – komunikacyjne umiejętności trzylatka. Szybko przekonałam się, że mój kulejący koreański ma co najwyżej stopień podstawowy.

Pamiętam pierwszy dzień w pracy. Był luty, środek zimy. Jechałam metrem w godzinach szczytu, w rajstopach i pijących szpilkach, i oczywiście się zgubiłam. W końcu dostrzegłam właściwy budynek i zostałam zaprowadzona przez pracownika kadr na spotkanie z szefem. Siedziałam sama w sali konferencyjnej, kiedy do środka wszedł mężczyzna na oko nieco młodszy od mojego ojca. Na nazwisko miał Hong i należało zwracać się do niego Hong bujang-nim, czyli „starszy kierowniku Hong”. Po koreańsku zapytał:

- Znasz język?
- Troszeczkę – odparłam.
- No to witamy w zespole *hongbo* – powiedział.
- Yyy – zająknęłam się nieśmiało. – Co znaczy *hongbo*?
- *Hongbo* to public relations – wyjaśnił.

Dział, którym zarządzał. Dział, w którym miałam pracować! Niech to szlag. Oto przepadła moja szansa, by zrobić dobre pierwsze wrażenie. Widziałam, że pan Hong trochę się zmartwił.

Okazało się, że – wbrew temu, o czym zapewniono mnie podczas rozmowy kwalifikacyjnej – większość zespołu *hongbo* nie mówi płynnie po angielsku i moi nowi koledzy obawiali się spotkania ze mną tak samo jak ja spotkania z nimi.

Byłam tak opalona, że większość mieszkańców Seulu uważała mnie za mieszkankę południowo-wschodniej Azji, a w dziale public relations

byłam pierwszą osobą z zagranicy. Kiedy się pojawiłam, chyba wszyscy byli nieco zaskoczeni tym, jak bardzo się nie nadawałam do tej pracy: nie mieli pojęcia, co ze mną zrobić.

Byłam jednak zdeterminowana, by jak najlepiej wykorzystać czas, jaki spędzę w Seulu, i wiedziałam, że muszę dopasować się do miasta, skoro ono nie dopasuje się do mnie. Szybko zaczęłam przyjmować po męsku wszystkie nowe doświadczenia. Bardzo mi pomogło, że moi współpracownicy od razu otoczyli mnie opieką: koleżanki traktowały mnie, jakbym była ich niedawno odnalezioną kuzynką – i to wychowaną przez wilki. (Tak na marginesie: mimo niefortunnego początku panu Hongowi i mnie tak świetnie się razem pracowało, że po przejściu na emeryturę został jednym z najważniejszych pracowników Soko Glam – *Sangmu-nim*, czyli wiceprezesem).



Ludzie w biurze dokuczali mi, bo miałam potargane, nieokiełznane włosy, i patrzyli na mnie nierozumiejącym wzrokiem, kiedy próbowałam im wyjaśnić, że pofalowane włosy, jak po dniu na plaży, to fryzura w stylu boho. Uważali za barbarzyństwo, że nie nakładałam na twarz esencji, i śmiali się (ze mną czy ze mnie – trudno powiedzieć), kiedy przyznałam, że nie wiem, co to takiego. Kiedy zapytali mnie, czy kiedykolwiek byłam w łaźni albo złuszczałam skórę, poszłam na łatwiznę i skłamałam. Powiedziałam, że byłam tam ostatnio, choć moja stopa nie powstała w koreańskim spa, odkąd weszłam w wiek dojrzewania.

Moi współpracownicy rzucali uwagi typu „Twoje podkrążone oczy widać z drugiego końca biura” albo „Co ci tam wyrosło na twarzy?”. Moja ulubiona – bo troska o moje dobre samopoczucie i wygląd dla wielu zaczęła się stawać prawie udręką – brzmiała: „Błagam cię, uczesz w końcu włosy”.

Azjatyckie rodziny są bardzo bezceremonialne: nikt nie chodzi wokół ciebie na palcach, każdy powie ci prosto w oczy, że tyjesz albo musisz sobie znaleźć chłopaka, więc nie czułam się obrażona. Przywykłam do obcesowości podszytej dobrymi intencjami, ale zaczęłam zastanawiać się nad stanem swojej cery. Poza tym, jako że otaczała mnie koreańska kultura, uzależniłam się od tamtejszych oper mydlanych, zwanych K-dramami, i muszę przyznać, że byłam (i nadal jestem) na tyle płytkka, by fascynować się występującymi w nich aktorkami. Ich twarze były idealne, nawet kiedy oglądałam je w HD!

5 ULUBIONYCH K-DRAM

1. *Miłość z gwiazd*
2. *Odpowiedz mi*, 1997
3. *Odpowiedz mi*, 1994
4. *Pełna chata*
5. *Kawowy książkę*

Spędzałam coraz więcej czasu po pracy ze znajomymi z Samsunga i przekonałam się, że wiele moich koleżanek wygląda bardzo młodo jak na swój wiek, a mężczyźni wiedzą więcej o pielęgnacji cery niż ja. To, że bardzo męski facet ma na swoim biurku filtr do twarzy i krem do rąk, a nawet nawilżacz powietrza, aby mroźne zimowe poddmuchy nie wysuszyły mu skóry, nikomu nie wydawało się dziwne. W rządach

biurowych boksów było wilgotno jak w lesie deszczowym, co wpływało na wygląd pracowników. Ich twarze lśniły jak krople rosy, a nawet więcej – miały w sobie blask.

Przejawy kultury dbania o cerę były zresztą wszechobecne. Na każdej ulicy w Seulu działały dziesiątki albo i setki sklepów kosmetycznych – na byle skrzyżowaniu w dzielnicy Myeong-dong ze wszystkich stron otaczały mnie drogerie jednej sieci. Podczas codziennej drogi powrotnej z pracy mijałam dziesiątki witryn pełnych kremów i innych środków upiększających, a przekroczenie progu drogerii równało się wejściu do pełnego tajemnic sklepu z cukierkami. Były tam lekarstwa na wszystko: na cienie pod oczami i na wypryski; kremy CC, które sprawiają, że wyglądasz nienagannie i naturalnie, a jednocześnie chronią twoją skórę; małe żelowe plastry na nos, żeby pozbyć się wągrów. Patrzyłam na dziesiątki maseczek w płachtach – z dodatkiem ryżu, mleczka pszczelego, a nawet sfermentowanych drożdży! Maseczki te, dzięki którym możesz poczuć się w zaciszu własnego domu jak w spa, kosztowały mniej niż bilet na metro, a ich gustowne opakowania sprawiały, że stawały się jeszcze bardziej kuszące. W drogeriach odkryłam mikstury i składniki, o których nigdy w życiu nie słyszałam, jak kremy z ekstraktem ze ślimaka na blizny po trądziku, albo z jadem węża, przywracające skórze jędrność. Wszystkie produkty były tanie, a ja godzinami sprawdzałam ich skład i sposoby stosowania. Nawet gdy mój koszyk był pełen kosmetyków, w głowie nadal miałam listę rzeczy, które chciałam jeszcze wypróbować.

Tyle marek i tyle oferowanych produktów! Zależało mi na tym, aby z tego bogactwa wybrać to, co najlepsze, dlatego nieustannie wypytywałam koreańskich znajomych o ich rytuały pielęgnacyjne i kosmetyki, które w ich wypadku sprawdziły się najlepiej. Szukałam też informacji na koreańskich blogach kosmetycznych i w ulubionym programie telewizyjnym poświęconym dbaniu o urodę *Get It Beauty*, który zawsze, bez względu na to, gdzie byłam, zdawał się lecieć gdzieś w tle. Miałam

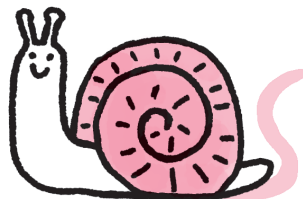
też nauczycielki i sojuszniczki w ekspedientkach drogerii, które – mimo że młodsze ode mnie (a może tylko tak wyglądały?) – miały niesamowitą wiedzę na temat produktów i technik pielęgnacyjnych.

To, że skóra jest najważniejsza, wynikało jasno z wielu codziennych interakcji. Podczas jazdy windą do mojego mieszkania podsłuchiwałam, jak starszy mężczyzna wita stojącą obok mnie kobietę słowami: „Pani cera wygląda dziś wspaniale”.

Przyjrzałam się ukradkiem tej ponoć idealnej cerze. Rzeczywiście, okazała się promienna i jasna. Patrzyłam na kobietę na oko przed trzydziestką, choć mogła być starsza o dekadę lub więcej. Jej skóra była nieskazitelna, z niemal niewidocznymi porami, a reakcja kobiety świadczyła o tym, jak dumna się poczuła, usłyszawszy komplement. Otworzyła szerzej oczy z radości i zachichotała, grzecznie przysłaniając dłonią usta.

Z obserwacji sytuacji w windzie wyciągnęłam dwa wnioski. Po pierwsze, mężczyzna zauważył, jaką kobieta miała cerę (nie mieściło mi się to w głowie). Jaki amerykański facet zwróciłby uwagę na coś takiego? Po drugie, jej reakcją była czysta rozkosz. Równie dobrze mogłaby wygrać na loterii.

Po zdarzeniu w windzie na każdym kroku zaczęłam zauważać piękno cery Koreanek. Twarze, które widziałam, były gładkie i jedwabiste. Zazdrościłam mijanym kobietom tej świeżości i promienności, zastanawiałam się, co robią, aby ich cera nie była szara i nie łuszczyła się.



Wiem, co sobie teraz myślisz, bo sama też tak pomyślałam: „To geny, głuptasie. One się takie urodziły!”. Ale sceptyczka we mnie mil-
kła za każdym razem, kiedy spoglądałam w lustro: jestem pełnej krwi
Koreanką, a moja cera była zgaszona i łuszczyła się jak skórka młodego
ziemniaka. Wiedziałam, że muszę w jakiś nowy sposób zadbać o swoją
twarz, a nawet – jeśli będzie taka potrzeba – zmienić swój tryb życia.

Cztery tygodnie po przyjeździe do Korei miałam już na biurku wła-
sny nawilżacz powietrza i zamiast wyczekiwać wieczornej lampki wina,
z podekscytowaniem wracałam do domu, aby umyć twarz. Jak to się
mówi: co kraj, to obyczaj.



ŁADNA
CERA

to
zdrowa
CERA



PPALI
PPALI!



SŁODKO



ZNACZY



dobrze

Najpierw cera,

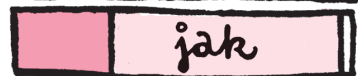


potem
MAKE-UP



Dbanie
o
cerę

NIE
TYLKO
dla
DOROSŁYCH



CHODZI O
ROZJAŚNIANIE



Nieskazitelna, promienna cera jest w zasięgu ręki – odkryj, jak to robią Koreanki.

W Europie o skórze mówi się głównie w kontekście problemów: zmarszczek i niedoskonałości cery, które trzeba tuszować grubymi warstwami makijażu. **Koreanki od dawna wiedzą, że takie podejście prowadzi donikąd. Ich niezwykła metoda kompleksowej pielęgnacji gwarantuje rewelacyjne efekty.**

Charlotte Cho na własnym przykładzie dementuje mit, że idealna cera Koreanek to efekt dobrych genów, i **udowadnia, że wszystko zależy od właściwej pielęgnacji.** W książce przedstawia **kilka prostych, ale niezastąpionych sposobów**, by raz na zawsze pożegnać się z niedoskonałościami i zachwyć wszystkich promienną, nieskazitelną cerą.

**Zapomnij o starzejących się z godnością Francuzkach
i osiągnij koreańską perfekcję.**

Oczyszczaj, złuszczaj, nawilżaj, regeneruj i lśnij!



Charlotte Cho jest ekspertką od koreańskiej pielęgnacji skóry, profesjonalną kosmetyczką i właścicielką sklepu Soko Glam z koreańskimi kosmetykami. Jej porady były cytowane w pismach takich jak „The New York Times”, „Vogue”, „Elle” czy „Marie Claire”.



Cena 36,90 zł

ISBN 978-83-240-3590-8



E-book dostępny na

woblink.com

znak.com.pl

książki z dobrej strony

